

Zbigniew Czarnuch

Pytania o naszą – tu nad Odrą – tożsamość

Nadwarciański Rocznik Historyczno-Archiwalny nr 2, 232-241

1995

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach
dozwolonego użytku.

Zbigniew Czarnuch

Witnica

PYTANIA O NASZĄ – TU NAD ODRA – TOŻSAMOŚĆ

W odpowiedzi na pytanie o naszą, tu nad Odrą i Wartą, tożsamość wystarczała nam dotąd formuła, zamieszczona przez pionierów polskiego osadnictwa w czterdziestych latach na głazie narzutowym w lemierzyckim lesie: „Myśmy tu nie przybyli, myśmy powrócili”

Szukaliśmy więc wszędzie, gdzie to tylko było możliwe i niemożliwe śladów piastowskich czasów, skutecznie starając się zacierać wszelkie pozostałości niemieckiej obecności na tych ziemiach. Praktykę tę można zrozumieć i tłumaczyć emocjami wywołanymi wojennym doświadczeniem, pamięcią doznanych krzywd i walką z przejawami polskiej kultury w okresie bismarckowskiego kulturkampfu czy hitlerowskiej polityki wyniszczania wszystkiego co słowiańskie. Emocje mają jednak tę właściwość, że z czasem wygasają ustępując miejsca spokojnej analizie zjawisk, rzetelnej ocenie faktów. Gdy nie chce się swego życia budować na kłamstwie, trzeba przyjąć do wiadomości to, że żyjemy w miastach założonych i zbudowanych przez Niemców, że pracujemy często w zakładach pracy także przez nich zbudowanych, że wiele nadodrzańskich, nadwarciańskich i nadnoteckich wsi powstało w XVIII wieku w wyniku gigantycznych przedsięwzięć Hohenzollernów. Naturalnie są tu pewne subtelności natury geograficzno-historycznej. Inaczej ten problem musi być widziany w przypadku Międzyrzecza, Skwierzyny, inaczej – Międzychodu, a jeszcze inaczej – Gorzowa, Witnicy, Dębna i tak dalej. We wszystkich przypadkach jednak mieszkańcy całego terytorium dzisiejszego województwa gorzowskiego, poszukując odpowiedzi na pytanie o naszą kulturową tożsamość, napotkają na problem niemiecki.

Niedawno GAZETA LUBUSKA (Magazyn nr 83/1994) opublikowała wywiad przeprowadzony przez Reginę Dachównę z Cezarym Szańcu-

kiem, inspektorem do spraw współpracy transgranicznej Urzędu Wojewódzkiego w Zielonej Górze. W wywiadzie tym znajdujemy taki oto fragment:

- "Zachodnie firmy wyrosłe z rzemiosła odwołują się do swych korzeni. Ludzie w ten sposób podkreślają swą inność, mówią o rodowodzie, identyfikują się z określonym kręgiem kulturowym.
- A tego nam brakuje na Ziemi Lubuskiej?
- (...) Urodziłem się na Ziemi Lubuskiej w 1963 roku. Zastanawiam się, jaka jest moja i mego pokolenia, „kultura lubuska”? Z jakimi wartościami, typowymi dla tylko tego regionu, powinniśmy się identyfikować? Z jaką obyczajowością?
- Sądziłam, że dla młodych, dynamicznych biznesmenów, nie są to sprawy najważniejsze.
- Potrzeba identyfikacji, utożsamiania się z regionem, miastem, ulicą, wsią, jest ważna dla każdego człowieka. Szczególnie teraz, gdy rozpoczynamy współpracę z Niemcami. Przy okazji rozmów na temat współpracy niemiecko-polskiej pojawiają się zarzuty, że strona niemiecka jest mocniejsza pod każdym względem, to wynika również z faktu, że przy nieznanym własnych korzeni kulturowych polska strona nie czuje się pewnie”.

Ta sama gazeta z 6.10.1991 zamieściła wywiad red. Henryka Ankiwicza z historykiem Benyskiewiczem, z którego przytoczę fragment:

„H. A. – Powiedz czy warto dziś spierać się jeszcze, czy Zielona Góra była polska czy niemiecka?

J. B. – Nie warto. Nie tu miejsce na szerszy wywód o Piastach śląskich, o tym jak ich domeny się Niemczyły. Przecież w gruncie rzeczy oni poszli za zachodnią, niemiecką cywilizacją, a nie narodowością. Pojęcie przynależności narodowej jest znacznie późniejsze. W Zielonej Górze element polski nigdy nie był silny. Właściwie dopiero polityka pruska obudziła tu w Polakach poczucie przynależności narodowej.

Wcześniej, jak tępieno katolików, to nie tylko Polaków, lecz także katolików jako całość. Natomiast z całą pewnością można powiedzieć, że od 1945 roku Zielona Góra jest absolutnie polska. To przecież Polacy zrobili z tego miasteczka miasto ponad stutysięczne”.

Warto uważnie śledzić to co mówią reprezentanci drugiego pokolenia polskich osadników i analizować ich czyny będące wyrazem dążeń i tęsknot, pokoleniowej wersji poglądu na nasze miejsce w Europie. Biznesmeni z Gorzowa objawiają handlowemu światu, że Zakłady Mięsne sięgają swą tradycją do roku 1890. Witnicki Browar reklamuje się jako firma powstała w 1848 roku. Zarząd Miasta Kostrzyna wydał folder propagandowy, w którym wśród sylwetek znaczących w dziejach miasta wymienia się margrabiego Johanna von Hohenzollern, którego dotąd nazywaliśmy Janem z Kostrzyna; Fryderyka Wilhelma zwanego Wielkim Elektorem; Fryderyka II; porucznika von Katte skazanego tu za wierność młodemu królewiczowi, zesłanemu do kostrzynskiej twierdzy; inżyniera Ludwika Banaszaka, dyrektora Kostrzynskiej Fabryki Celulozy i Papieru oraz księdza kanonika Franciszka Skałbę.

Nie tylko ludzie biznesu, czy reprezentanci administracji i historycy poszukują odpowiedzi na pytanie o tożsamość uwzględniającą fakt, że mieszkamy na ziemiach przez 700 lat znajdujących się (poza wyjątkami) pod wpływami niemieckiej kultury. Ksiądz Jan Kozioł w Ośnie Lubuskim wyciągnął z kościelnej rupieciarni piękne drewniane tablice upamiętniające mieszczan niemieckiego Ośna i umieścił je w kościele. W Słońsku szuka się kontaktu z zakonem joannitów, aby wspólnie nawiązać do tradycji związków tego zakonu z miastem, a także czci się pamięć Karola von Osietzkiego i innych ofiar tutejszego obozu i więzienia.

W Strzelcach Krajeńskich kultywuje się pamięć wybitnego malarza niemieckiego przełomu XIX-XX wieku, Ludwika Nostera. Gorzowskie muzeum w swym budynku przy ul. Warszawskiej eksponuje kolekcje dzieł sztuki Nowej Marchii.

Procesowi przewartościowywania naszej przeszłości, dokonywującemu się w sposób oddolny i żywiołowy, winna towarzyszyć metodologiczna refleksja. Zwłaszcza tu nad Odrą. Problematyka jest nowa. Dotąd nasza edukacja historyczna oparta była na schematach myślenia państwowego. Decydowały o wyborze faktów i problemów interesy narodu i państwa. Nasze skomplikowane dzieje, a także etap rozwoju myśli historiozoficznej, uzasadniały przyjęcie takiej strategii oddziaływania na społeczeństwo przez historię. Mimo, że już Sławoj Składkowski jako minister spraw wewnętrznych wydał 30 listopada 1927 roku rozporządzenie w sprawie studiów nad stosunkami województw, jako jednostek regionalnych i wojewódzkich programów działania, w którym pisał, że „Organizacja wewnętrzna zarządu Rzeczypospolitej opiera się na zasadach de-

koncentracji i centralizacji” i określał cele dominujące w przyszłości jako „daleko posunięta samodzielność władz lokalnych i szeroki samorząd terytorialny”. Sławoj Składkowski stwierdził nawet, wobec różnorodności stosunków i potrzeb, że „każde województwo jest jednostką regionalną, posiadającą swoją indywidualność”. (Cytuję za A. Kociszewskim: Regionalizm mazowiecki s. 79 Ciechanów 1993).

Dzieje tej części Europy nie pozwoliły na rozwój i upowszechnienie się takiego sposobu myślenia. Mimo, że od tego czasu dorobek regionalistyki jest ogromny. Dziś nie zawężamy pojęcia indywidualności obszaru do granic województwa. Kategoria „małej ojczyzny” pozwala na dużą elastyczność, gdy mówimy o granicach. Marc Bloch w swej „Pochwale historii” radzi historykom, by mieli odwagę odwrócić się plecami od przeszłości i jej problemów, a zaczęli przede wszystkim żyć. Przez udział w życiu społecznym środowiska (a taka jest natura pracy historyka lokalnej społeczności) badacz poznaje lepiej rzeczywiste mechanizmy ludzkich zachowań, bo w historii w końcu zawsze chodzi przecież o człowieka, i lepiej może utrafić w społeczne zapotrzebowanie współmieszkańców. Przypomnijmy tu wypowiedź Cezarego Szańczuka, w której domaga się wiedzy o regionalnej tożsamości jako czynnika siły przebiccia w rokowaniach gospodarczych, czy argumenty stosowane w reklamie wyrobów mięsnych w Gorzowie, a piwa – w Witnicy.

Uczestnicząc w życiu społeczeństwa postrzegamy – pisze Bloch – że problemy wielkiej polityki, zagadnienia związane z zarządzaniem krajem, są domeną i pasją niewielkiej grupy ludzi. Obok tych zagadnień ma miejsce wiele równoległych zjawisk, nie dających się wmontować w strukturę hierarchiczną, które dla ludzi w nich uczestniczących są tak ważne, jak wielka polityka dla polityków. Dziejopisów lokalnych społeczności zachęcam do ponownej lektury tego autora, którego książka ukazała się u nas w 1962 roku. Pomaga to w pozbyciu się kompleksu prowincjusza. W tym duchu wypowiadał się także profesor Stanisław Herbst na konferencji w Mińsku Mazowieckim w roku 1964, gdzie agitował badaczy – społeczników, by nie liczyli na naukowe instytuty i uczelnie, a wzięli badania regionalne w swoje ręce. Przygoda Gorzowskiego Towarzystwa Naukowego z „Dziejami Gorzowa” zdaje się potwierdzać rady S. Herbsty.

Naszą szansą jest koncepcja Rzeczypospolitej Samorządowej, a także – coraz bardziej popularna-idea „małych ojczyzn”, z jej hasłem „tradycja dla przyszłości”.

Decentralizacja zarządzania państwem sprzyjać będzie odchodzeniu od postaw „na baczność” przed urzędnikami wyższego szczebla oraz przyjmowania się postaw respektu dla wyborcy lokalnej społeczności, liczenia się ze zdaniem sąsiada. W tej perspektywie już teraz można zaobserwować przewartościowania różnych kategorii poznawczych, stereotypów, myślowych schematów. Oto autorzy wspomnianej broszury, wydanej w Kostrzynie, do panteonu postaci godnych upamiętnienia wliczają Fryderyka II, naszego wroga narodowego, który z lokalnej perspektywy nim być przestaje. W wymiarze dziejów narodu obecność Niemców w Skwierzynie oznaczała napływ wrogiego etnicznego elementu na nasze stare rdzennie, piastowskie, wielkopolskie tereny, będący wyrazem odwiecznego DRANG NACH OSTEN. Dziś, co światlejsi obywatele tego miasta skłonni są patrzeć na jego dzieje jako na wiekowy proces pokojowego współżycia Polaków, Niemców, Żydów, który od czasu do czasu był brutalnie przerywany wojnami, przemarszami wojsk – zdarzeniami, którymi WIELKA HISTORIA wkraczała w dzieje miasteczka na prawach intruza, niosąc śmierć, pożogę, gwałty i grabieże.

Jerzy Topolski pisał niedawno na łamach „Polityki” (16/1994) o procesie reorientacji metodologicznej historyków współczesnego świata. Okazuje się, że dziejopisarze wpadli w zasadzki umysłowe poprzez uznanie za realne pojęć, które stworzyli sobie na użytek badawczy. Do takich pojęć należą „gospodarka czynszowa”, „ustrój kapitalistyczny”, „wojna światowa”, „styl gotycki”, „rewolucja” i inne.

Niedawno jeden z młodych ludzi interesujących się wojną światową ze zdziwieniem skonstatował podczas swych rodzinnych dociekań historycznych, że w dziejach jego rodziny mieszkającej na wsi, wojna ograniczyła się do dwukrotnego przemarszu wojsk oddaloną od wsi szosą i lunami pożarów na horyzoncie, następnie na rzadkich odwiedzinach niemieckich urzędników domagających się dostaw żywności. Poza tym życie toczyło się normalnym trybem. Gdy swego czasu przymierzałem się do pisania dziejów jednej z wsi Podlasia zaskoczyło mnie odkrycie, że rozbiory, powstania, rewolucje, wojny docierały tam tylko jako echo dalekich zdarzeń i jeśli miały jakieś konsekwencje, to dla ludzi z dworu. Problem kto rządził w Warszawie nie wpływał istotnie na życie wsi. Dziś wiem, że to moje zaskoczenie wynikało z pułapki, o której pisał prof. Topolski.

Nowy kierunek w historiografii i w życiu umysłowym w ogóle nosi nazwę postmodernizmu. Postmoderniści ostrożnie posługują się kategorią prawdy historycznej uznawanej za tą jedyną i wszechobowiązującą.

Dzisiaj mówi się o wielu równoległych prawdach. Prawdy te zależą od materii badanej rzeczywistości i od punktu jej postrzegania. Widzieliśmy to na przykładzie Fryderyka Wielkiego. Inna jest bowiem prawda o nim w wymiarze dziejów regionu, a inna w dziejach polskiej państwowości. Inna dla Warszawy a inna dla tych wsi leżących nad Odrą, Wartą i Notecią, które stworzył mocą swej woli. Czy te prawdy o królu Prus da się sprowadzić do wspólnego mianownika?

O swą rangę w hierarchii opracowań historycznych biją się monografiści dziejów obyczajowości, sportu, przemysłu. Czy postrzeganie tych dziedzin w wymiarze państwa nie jest deformacją rzeczywistości? Odradza się biografistyka, heraldyka. Czy prawda o Radziwiłłach, Potockich, Kościuszkach, Miłoszach, nie jest okrojona, gdy ją postrzegamy wyłącznie przez kategorię poznawczą dziejów narodu, państwa? Niegdyś mówiło się, że historia w skali mikro jest o tyle cenna, o ile jest tworzywem dla syntez dziejów kraju, świata. Dzisiaj badacz dziejów swej małej ojczyzny, czy tematów odrębnych, nie musi mieć kompleksów, że jest tylko „dostawcą surowca”. Jest on bowiem dostawcą syntezy dla czytelników spragnionych wiedzy o swych korzeniach, poszukujących odpowiedzi na pytania o tożsamość lokalnej czy grupowej społeczności. A jeśli zechce z jego opracowań skorzystać historyk zagadnień ogólniejszych, tym lepiej. Związany jest z tym problem świadomości tego, kto jest odbiorcą tego co piszemy, do kogo adresujemy nasze prace. Innego bowiem języka będziemy wtedy używali i inny będzie tok narracji.

Badacze dziejów tej części Polski, której fragmenty niegdyś nosiły nazwy Pomorza, Śląska czy Wielkopolski, Ziemi Lubuskiej, potem Nowej Marchii, Brandenburgii, Prus, Ziemi Odzyskanych, Ziemi Zachodnich i Północnych, województwa poznańskiego, zielonogórskiego, szczecińskiego a także gorzowskiego, przystępując do prac nad formułowaniem, definiowaniem tej swojej mało-ojczyźnianej tożsamości, muszą odpowiedzieć sobie na szereg pytań. Będą wśród nich i takie:

Czy nasza powojenna tu obecność to przede wszystkim akt sprawiedliwości dziejowej, czyli odzyskanie utraconych przed wiekami ziem, czy też głównie efekt powojennego układu sił politycznych w Europie?

W zależności od odpowiedzi na pytanie pierwsze, trzeba będzie wybrać właściwe określenie: w 1945 roku ziemie te były wyzwolone, odzyskane, zdobyte, inkorporowane?

Czy mieszkając na pograniczu wybieramy koncepcję Europy niepodległych państw, czy Europy ojczyzn, regionów? Obstajemy za koncepcją twardych granic, czy miękkiego pogranicza według koncepcji Stanisława Vincenza, dla którego pogranicze jest miejscem spotkań graniczących ze sobą kultur, przenikania wzorów zachowań, obyczajów, powiązań gospodarczych i rodzinnych? Czy też wszelkie bratanie się z wrogiem uznajemy za akt narodowej zdrady?

Jesteśmy więc za wizją społeczeństwa otwartego, czy zasklepionego w etnicznym gettacie?

Czy skłonni jesteście Niemcom – tu urodzonym w domach, w których mieszkamy i na ich niegdyś gospodarkach i warsztatach pracujemy – przyznać prawo do współuczestnictwa w decydowaniu o losach zabytków ich kultury? Czy skłonni jesteście, tak jak to być powinno w zjednoczonej Europie, przyznać im także prawo zakupu ziemi obok nas? Czy gotowi jesteście, uznając prawo własności za święte, zwrócić im ich majątek?

Pytania są drastyczne. Odpowiedzi na nie mogą być różne. Udawanie jednak, że problemu nie ma, jest chowaniem głowy w piasek. Badacz dziejów „małej ojczyzny”, czy regionu musi mieć jasność w tych sprawach, jako że w zależności od zajętego stanowiska różnie będzie oceniał historyczne i społeczne współczesne fakty. Przy okazji warto sobie postawić pytanie, ważne w postmodernistycznym społeczeństwie otwartym, o granice naszego prawa wydawania autorytatywnych sądów o zjawiskach, faktach i ludziach, wyrokowania o tym co jest dobre, a co jest złe. W systemach totalitarnych wszystko jest dość jasne i proste. Także wtedy, gdy obejmuje ono zachowania zwane patriotycznymi czy nacjonalistycznymi, gdy posługujemy się kalką „nasze” i „obce”. Jak jednak sprawy te należy ujmować w społeczeństwie pluralistycznym?

Na tożsamość społeczności lokalnej składa się wiele wyróżników. Są wśród nich przede wszystkim odwieczne, stałe czynniki geograficzno-przyrodnicze, których ranga w obliczu zagrożeń cywilizacyjnych ciągle wzrasta. Dziś nie da się budować postaci własnej tożsamości lokalnej bez odwołania się do świata przyrody, do osobliwości i cech szczególnych ukształtowania terenu, które mogą stać się kanwą, na której snuta będzie nieć zjawisk kulturowych.

Podczas gdy warunki przyrodniczo-geograficzne są ze swej istoty jakby neutralne, to to wszystko, co składa się na zjawisko kultury pojmowanej jak najszerzej, wyzwała nasze emocje, wynikłe z potrzeby wartościowania. Tu napotykamy na tkwiące w nas schematy myślowe, wyrażające się w reakcjach akceptacji i odrzucenia, wynikłych z klasyfikacji faktów i zdarzeń na „swoje” i „obce”, „wrogie”. Kierunek, jaki przyjęliśmy w naszej polityce zagranicznej i filozofii państwa po zmianie systemu społeczno-politycznego, umożliwia sublimację pojęcia „obce”. Nie da się zresztą budować tożsamości kulturowej „małej ojczyzny” ziem zachodnich pomijając osoby znaczące, wybitne dokonania, wzorce zachowań, dzieła sztuki, osiągnięcia gospodarcze poprzednich jej mieszkańców-Niemców- i nie włączając je w to wszystko, co wnieśliśmy tu my. Przy tym to „my” traktowane szeroko, tak jak zrobili to gorzowianie umieszczając w systemie swej tożsamości nurt cygański.

Istotnym problemem w pracy nad poszukiwaniem tożsamości jest sprawa granic „małej ojczyzny”. Powiada się, że „małe ojczyzny” posiadają swe tętniące życiem centrum, natomiast ich granice są płynne, uzależnione od stopnia kulturowego promieniowania na sąsiednie miejscowości, utożsamiające się z centrum. Argumenty geograficzno-przyrodnicze, administracyjne i historyczne nie mogą tu niczego przesądzać. Fakt że mieszkamy na pograniczu rzutować musi na proporcje tego co „swojskie” i tego co „obce”.

Kryteria geograficzno-przyrodnicze, kulturowe i gospodarcze, stosowane przy wyszukiwaniu elementów tożsamości wyrażającej się w żywej tradycji, kontynuacji wątków przeszłości (hasło ruchu Małych Ojczyzn: „Przeszłość dla przyszłości”), pozwalają na wydobycie z przeszłości tego co ważne dla jutra. Podczas wydobywania z przeszłości tego co ważne, badacz, który ustawia się tu w roli pedagoga społecznego, napotyka na barierę swego systemu wartości, zwłaszcza przyjętej definicji patriotyzmu. Inny bowiem będzie wybór faktów i inna narracja, gdy badacz jest zwolennikiem wersji symbolicznej patriotyzmu, kiedy liczą się bardziej gesty; obchody, jubileusze, uroczystości, godła, pamięć czynów zbrojnych, a inny gdy wyznajemy pozytywistyczną wersję patriotyzmu, wyrażaną w zachowaniach ukierunkowanych na troskę o godność kraju mierzoną zadbaną zagrodą, warsztatem, dobrze zarządzanym miastem i gminą, osobistym wyglądem i poziomem wykształcenia. Obie wersje patriotyzmu nie muszą przybrać postaci alternatywy. Rzecz w rozłożeniu akcentów.

Tu nad Odrą istotne jest, abyśmy podjęli trud dokonania syntezy naszej narodowej fantazji, indywidualizmu i potrzeby niezależności z niemiecką uczciwością, społecznym wyrobieniem, lojalnością wobec władzy. Wyszukując wzorce osobowe wśród znaczących postaci w dziejach miejscowości, warto wydobyć na światło dzienne ludzi cechujących się takimi postawami. Te pozytywne niemieckie cechy są zakodowane także w pozostawionych przez nich zabytkach, zakładach, domach. Badacz niemieckiego okresu dziejów tutejszych miejscowości napotyka wiele pięknych przykładów społecznego życia społeczności Nowej Marchii, ich umiejętności życia w gromadzie.

Cyprian Kamil Norwid pisze, że lud myśli osobami. Nie problemami, strukturami, faktami, procesami, a osobami. To ważna dyrektywa dla społecznego pedagoga, którym z natury rzeczy musi być historyk regionalista, specjalista od zagadnień humanistycznych swej lokalnej społeczności. Dobór osób znaczących winien być starannie przemyślany pod kątem wartości, w które pragniemy „uzbroić” miejscowe społeczeństwo

Takie traktowanie przeszłości może wydać się instrumentalnym. Może być uznane za manipulację. Nie oszukujmy się. Historia ze swej natury zawsze taką być musi. Historią jest wszystko. Każda narracja jest wyborem i każda ukierunkowana jest na przypomnienie tych aspektów przeszłości, które badacz uznaje za godne tego. Nie chodzi tu o manipulację przepełnioną cynizmem polityków, którzy, aby utrzymać się przy władzy, grają na strunach, których brzmienie jest miłe uchu określonych kręgów wyborców. Nasza „manipulacja” obliczona jest na wartości takie jak: godność ludzka, pokój, ochrona przyrody, współpraca narodów, braterstwo ludów mieszczące się w odwiecznym kanonie tęsknot najszlachetniejszych jednostek. Taka manipulacja jest wskazana. Byle tylko nie opierała się na świadomym kłamstwie.

W roku 1995 mija półwiecze naszej tu – na tych ziemiach – obecności. Tego rodzaju jubileusze sprzyjają intensywności działań korzystnych dla historyka. Nadeszła pora na podjęcie szeroko zakrojonych badań, dokumentujących dziejowy fenomen roku 1945, kiedy to – na największą w dziejach skalę – byliśmy uczestnikami ruchu migracyjnego wynikłego z przesunięcia granic. W niektórych środowiskach zostało to już dokonane, ale w wielu nie zrobiono prawie nic. Jeszcze żyją uczestnicy tamtych zdarzeń, zarówno po polskiej jak i po niemieckiej stronie. Mogą oni nam pomóc w uzupełnieniu skąpej bazy źródłowej. Coraz częstsze są kontakty organizacji ziomkowskich Niemiec z obecnymi gospodarzami tych

ziem. To cieszy. Przede wszystkim w wymiarze moralnym, jako pogodzenie się „odwiecznych” wrogów. Cieszy także w wymiarze badawczym. Niemcy potrafili wykorzystać swe talenty do społecznego współdziałania i zgromadzili prawdziwe kopalnie materiałów do badań nad przeszłością ich dawnych Heimatów, a naszych dzisiejszych „małych ojczyzn”. Im szybciej badacz regionalista nawiąże kontakt ze swoim kolegą po niemieckiej stronie, tym bardziej będzie miał ułatwioną pracę. Zbuduje przy okazji swój prywatny, mały most przez Odrę.

Cytowany wyżej Marc Bloch przytacza w swej książce przestrogi tych, którzy uważają, że „jest historia najbardziej niebezpiecznym produktem wytworzonym w laboratorium naszego umysłu”. Na swe usprawiedliwienie podaje, że historia znajduje się w stadium dziecięctwa, jak wszystkie inne nauki zajmujące się umysłem ludzkim, bowiem późno stał się on przedmiotem racjonalnego poznania. Choć sędziwa w swej załączkowej postaci narracyjnej, jest zupełnie nową jeśli chodzi o świadomą analizę badawczą.

Bloch wśród wielu przestróg przed grozącymi historykowi zagrożeniami pisze o przypadku zarażenia się wirusem aktualności. Stawiam sobie pytanie: o ile to wszystko co wyżej pisałem nie jest takiego przypadku egzemplifikacją? Czy nie stałem się ofiarą infekcji tego wirusa? Pośpiesznie szukam kryteriów pozwalających mi na znalezienie odpowiedzi. Adam Schaff w swej książce „Pora na spowiedź” pisze o widmie czterech jeźdźców apokalipsy, jacy nam zagrażają. Zalicza do nich: jeźdźca zagłady atomowej, jeźdźca eksplozji demograficznej, jeźdźca zagłady ekologicznej i jeźdźca strukturalnego bezrobocia. To są rzeczywiste problemy naszej planety.

W tej perspektywie to co napisałem mieści się w procesie uczenia się ludzi, niezależnie od narodowości, wspólnego rozwiązywania problemów, które dotyczą nie tylko Polaków i Niemców. A podjęcie tych wielkich zagadnień uzależnione jest od sztuki porozumienia się w sprawach najbliższych sercu: miłości stron ojczystych.

Artykuł jest rozszerzoną wersją wykładu wygłoszonego, na zebraniu Towarzystwa Przyjaciół Archiwum i Pamiątek Przeszłości w sekcji współpracowników „Rocznika”.